№ 5.

Warszawa, dnia 30 Stycznia. 1864 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki,** prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie. ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

SŁOWIAŃSZCZYZNA

PÓŁNOCNO ZACHODNIA

Obraz historyczny z XII wieku.

Kronikarz Helmold, na którego dziele głównie się opiera niniejsze opowiadanie, urodzony około roku 1160, w Brunświku lub jego okolicy, był bez zaprzeczenia Niemcem z rodu, jak to jasno widać w pozostałéj po nim kronice, dosyć pogardliwéj dla Słowian, chociaż pomiędzy niemi spędził większą część swego żywota. Od młodego wieku poświęciwszy się stanowi duchownemu, nieodstępnie towarzysząc biskupowi Geroldowi, ówczesnemu biskupowi w Starogrodzie, dziś zowiącem się Oldenburg, w r. 1154 dostał się na proboszcza do wsi Bozowa albo Bosów, położonéj nad jeziorem Błońskiem, obecnie znanem, pod przeistoczoném mianem Plön. Obie te miejscowości Starogród i jezioro Błońskie, czyli Oldenburg i Plön, znajdują się w dzisiejszym Holsztynie i położone są od strony Baltyku, niedaleko wyspy Femern. Z tymże samym biskupem Geroldem, w r. 1155 Helmold odprawił podróż do Starogrodu w celu nawiedzenia księcia Przybysława, panującego nad okolicznym ludem, znanym pod nazwiskiem Wagirów i Obotrytów. Kronikę swą dociągnął do roku 1170, z któréj każdy wyraz pobłyskując mieczami germańskich zastępów, przemienia ją w historją męczeństw i okrucieństwa, jakich się pod pozorem głoszenia Ewanielji, na nieszczęśliwym ludzie dopuszczano. Wartość zaś samego dzieła, na tém większe zasługuje uznanie, że Helmold, był prawie naocznym świadkiem wszystkich opowiadanych przez siebie wydarzeń; że opisy jego zalecają się szczególną prostotą i dramatycznością i że patrząc na wypadki ze stanowiska czysto niemieckiego, nawet na chwilę nie powątpiewa o prawach niemców do monopolizowania chrześcijaństwa i niszczenia pogańskich ludów Słowian. W tak dalekie, pleśnią czasu okryte wypadki, zapraszam Was z sobą zacne moje Rodaczki, a chociaż wędrówka po téj krwawé

przeszłości, smutkiem napełni wasze serca, godzi się jednak zapoznać bliżéj z kroniką dotąd dostępną tylko dla uczonych, a tak drobiazgowo opisującą dzieje ludzi, którego niegdyś siedziby, od gór Czeskich, Sanu i Bugu dochodziły aż do dzisiejszego Szlezwigu, miasta położonego w księztwie tegoż nazwiska a stanowiącém posiadłości królestwa Duńskiego.

Na obszarze tym ziemi, dziedzina Słowian północno-zachodnich ciągnąc się od rzeki Elby dochodziła do brzegów morza Baltyckiego i obejmując wyspę Rugię, zachodniem ramieniem w połowie przecinała dzisiejszy Holsztyn, przechodząc nawet rzekę Ejderę. Za miastem Szlezwigiem, wały usypane przed tysiącem lat przez Duńczyków, w celu obrony od najazdów Karola W-go, zwane po dziś dzień Dannewirki, stanowiły ostateczną granicę posiadłości Słowiańskich.

Wały te budowane w owe czasy z kamienia, ziemi, drzewa, z wieżami i fosą, zaniedbywane i znowu naprawiane, po kilku wiekach zupełnego zapomnienia, już w naszych czasach z wielką starannością przeniosione zostały z upadku i zamienione w silną obronną pozycją. Ważność ich dobitnie okazał rok 1848; w każdym razie, ciągnąc się wzdłuż pozycji panującéj nad miastem Szlezwigiem, w kierunku wschodnim, na przestrzeni jednéj mili aż do rzeki Schlei, tworząc łańcuch ziemnych fortyfikacji, z zręcznością pomysłu korzystania z miejscowości i wykonaniem szczegółów, wzbudzają dziś jeszcze podziw wszystkich specjalistów. Ten to łańcuch fortyfikacji stanowi sławną pozycją Dannewirków, a zrujnowane w niéj mury i wały dowodzą gruzami, odwiedecznych bojów, jakich ludzie jak zażarte zwierzęta nie przestają prowadzić między sobą.

Lud zamieszkujący ziemię tę dzisiejszego Holsztynu, w wieku XII zwał się Wagirami albo Wagrami, a Holsztyn Wagirją. Najznakomitszemi ich miastami, były nad morzem Starogród i Błonie poniżéj położone, obecnie zowiące stę Oldenburg i Plön.

Przy Wagirach zamieszkiwało plemię Obotrytów, mające za stolicę Zwierzyn i Wielkigród przeistoczone na Szweryn i Meklenburg: nad prawym brzegiem Elby, zwanéj w ówczas Łabą, ciągnęło się plemię Polaków, a nad brzegami Baltyku i na wyspie Rugji, plemię Wilków albo Lutyków, zwodziło harce morskie z niedaleko sąsiadującemi Duńczykami. Po nad Odrą mieścili się Winulowie dzielący się na Doleńców i Ratarów: nad Piana Nadpianianie i Kicinowie ze sławném miastem Retrą, siedzibą bałwochwalstwa, w któréj Radegost miał wielką świątynię a sam przedstawiony był w posągu złotym na łożu zasłanem purpurą. Na wyspie zaś Rugji stała świątynia Swiatowita głośna na całą pogańską Słowiańszczyznę.

Wszystkie te ludy Słowiańszczyzny północno-zachodniéj, co się tyczy ich narzecza, należały do plemienia Lechikriego, rozciągającego się od Baltyku aż do Bugu, Sanu i gór Czeskich. Najlepszym dowodem tego współbratymstwa są do dziś dnia porozrzucane w tamtych stronach osady. Pomorzan, Wendów i Obotrytów, których język, jeszcze dzisiaj, pomimo tylu wieków, z małemi nader różnicami, jest prawie zupełnie polskim. Co się tyczy Obotrytów, tych przy końcu XVII wieku było już nader mało, a i ci, co pozostali, z pochodzeniem swém kryli się, jak z największą zbrodnią, i wstydzili się używać ojczystéj mowy w obec Niemców i surdutowych panów.

Gdy pastor Hennigs z miasta Wiestrowa, odbywał między niemi pielgrzymkę, w celu ułożenia słownika i gramatyki Obotryckiéj, w pracy téj naukowej doznawał niezmiernych trudności, i musiał użyć bardzo wiele trudu, zanim mu się udało skłonić biednych Słowian, do odezwania się w rodzinnéj mowie. Po długiéj wreszcie pracy, zyskał zaufanie wieśniaków i studjując ich mowę, wydał gramatykę i słownik języka Obotryckiego, które najwidoczniéj blizkie pokrewieństwo jego z polskim pokazują.

Wszystkie te ludy choć niechrześcijańskie jeszcze, nie tylko nie były dzikiemi w tém znaczeniu, jak to dziś pojmujemy, ale przeciwnie zostawiły ślady niemałéj już oświaty. Głównem ich zatrudnieniem było rolnictwo, handel i rybołostwo, do których to dwóch ostatnich zatrudnień, zmuszało ich niejako blizkie morze i pobrzeża Szwedów i Duńczyków. Wprawdzie dosyć często statki rybackie Słowian zmieniały się w statki korsarskie i wtenczas huk bałwanów morskich mieszał się z odgłosami wojennéj wrzawy; Duńczycy i Szwedzi nie zasypiali także sprawy i rabunkiem i krwawym odwetem mścili się doznawanéj napaści, mimo jednak tego handel musiał być na pobrzeżu Baltyku nie mało rozwinięty, skoro Helmold powiada, że przy ujściu Odry do morza Baltyckiego, na wyspie Wollinie, leżało niegdyś miasto Jumneta, które *w rzeczywistości było największém ze wszystkich miast Europejskich.* Daléj dodaje, że Jumneta była niezmiernie bogatą i zamożną we wszystkie towary Europejskie. Że posiadała wszystkie rzadkości i przyjemności życia, i że bogate to miasto miał podobno zburzyć zupełnie jakiś król Duński, podpłynąwszy z bardzo wielką flotą. Helmold już tylko widział ruiny z tego znakomitego miasta, zawsze jednak świadczące o rozwoju po-

myślności i oświaty ludu zamieszkującego poblizkie ziemie.

Co do obyczajów i gościnności, powiada Helmold, że na całym świecie nie można było znaleść szlachetniejszego i z lepszém sercem narodu, a pług rolników Słowiańskich już wszędzie orał słowiańską ziemię nim się objawiływ niéj ekonomy holsztyńscy i liczne zjazdy agronomiczne w Kielu. Poświęceni wyłącznie rolnictwu, handlowi i rybołówstwu, rośli w byt dobry i zamożność, opłacając znakomite podatki biskupom, książętom i hrabiom niemieckim, którzy przyszedłszy do władzy nad ludami temi, pod pozorem szerzenia chrześcijaństwa, starali się corocznie je zwiększać, Zadania zaś te musiały się stawać coraz uciążliwszemi, skoro Przybysław książe Wagirów i Obotrytów, mieszkający w Starymgrodzie, dzisiejszym Oldenburgu, skarzył się, że mała Wagirja czyli mniejsza połowa dzisiejszego Holsztynu, oprócz dziesięciny od pługa dla biskupa Lubelskiego, po dwanaście sztuk zwykłéj w kraju monety i trzy szefle pszenicy, zapłaciła przez rok jeden Henrykowi Lwu tysiąc marek, hrabiowi Adolfowi kilkaset, a jeszcze na tém nie dosyć. Kraj co takie ciężary ponosił nie mógł być ubogim. Helmold czynny świadek zaprowadzania pomiędzy ludami temi chrześcjaństwa, który bóżnice ich czyli kontiny palił, święte gaje wycinał i patrzył na cześć oddawaną przez Słowian swoim bożyszczom, powiada, że między niemi jest wieloraki obyczaj bałwochwalstwa, co jednak nie znaczy, aby w pojęciu bóztwa miało być rozerwanie i nie było w wyznaniu jedności. Pomimo bowiem rozmaityeh bóstw nie przeczą bytu jednego boga nad innemi panującego, wszechmocnego i zajmującego się jedynie niebieskiemmi sprawami. Bogi zaś inne są jemu podległe, z jego krwi wyszły, a ten z nich jest wyborniejszy, który jest bliższym tego boga bogów. Różny zatém obyczaj tych bałwochwalców ściąga się do podrzędnych bogów, których posągi dziwnych postaci rozstawiają po kontinach albo po lasach lub gajach. Bałwany te są z dwoma, trzema i więcéj głowami, a pod ich opiekę oddają pola, lasy, smutek lub roskosz.

Mimo tego pojęcia jedynego Boga, w Polsce chrześcijaństwo już dawno tryumfowało, kiedy walka z bałwochwalstwem jeszcze wrzała w całéj zajadłości nad Elbą i Odrą.

O szczegółach oświaty tamtowiekowych Słowian, z kronik niewiele można się dowiedzieć, wiadomo tylko, że jak dawniéj młodzież Polska jeździła do Padwy, a dzisiaj na uniwersytety Niemiec lub Francji, tak i książęta Słowiańcy wysyłali swych synów na naukę do Brunszwiku lub Bremen. Staranność podobna zamożniejszych ojców, o kształcenie swych synów, co mieli kiedyś przewowodniczyć narodowi, pochlebne wydaje świadectwo o ich wiedzy godności i pożytku nauki, i szlachetnéj chęci przysposobienia z dziatek swych pożytecznych obywateli kraju. Wprawdzie były to usiłowania nader małe wydające owoce, z których bezpośrednio lud nie mógł korzystać, ale i w całéj Europie oświata rozwijała się tylko w wyższych warstwach społecznych, niższych nie obejmując prawie zupełnie.

Helmold podrużując po Wagirji czyli dzisiejszem Holsztynie, powiada że przybył do lasu, który jest jedynym w tym kraju, i widział w nim bardzo stare dęby, poświęcone Prowemu czyli Prawo, według Lelewela, bogu tego kraju, otoczone podwórzem i starannie z drzewa wyrobionym płotem mającym dwie furtki w sobie.

Było to miejsce święte dla całego kraju, strzeżone przez wyższego kapłana, w którem obchodzono osobne uroczystości, i składano różne rodzaje ofiar. Co drugi dzień zbiérał się tam lud, kapłani i książe dla odprawienia sądów, godzenia waśni i wymiaru sprawiedliwości: w bogu więc Prowe czczono najwyższe prawo, co krajowi daje spokojność wewnętrzną, pomyślny rozwój rolnictwa, handlu i przemysłu, i jednocząc go robi silnym i potężnym. Gaj ten ze swiętemi dębami znajdował się pod Starogrodem, dzisiejszym Oldenburgiem, a sądy w nim musiały się odbywać z wielką godnością, skoro Helmold powiada, że przysięga u tych Słowian bardzo rzadko się zdarza, bo przysięgać znaczy u nich to samo prawie, co ściągać na siebie mściwy gniew bogów. Takie poszanowanie przysięgi, tak spospolitowanéj w dzisiejszych czasach, piękne rzuca światło na moralną stronę narodu. Największym jednak ogniskiem błędu i siedzibą bałwochwalstwa, powiada Holmold, była Retra i wyspa Rana, dzisiaj zowiąca się Rugją. Ranianie i Rugjanie, powiada daléj, nazywani są krwiożerczemi, mieszkają wśród morza, są piérwszym narodem pomiędzy Słowiańskiemi ludami i mają króla i sławną świątynię. W niéj bóg Rugianów Zvantevit był czczony od wszelkiego narodu słowiańskiego; uznany za boga bogów, przed wszystkiemi innemi otrzymał piérwszeństwo. Wszystkie włości słowiańskie słały mu dary i oznaczone corocznie daniny. Dla świątyni zaś saméj dziwne okazywano poszanowanie, nie ścierpianoby ani zaprzysiężenia ani gwałtu w jéj obrębie.

d. c. n.

DO * * *

SONET.

O, niewierz w moją miłość, chociaż każdy woła,
Powtarza, że ja ciebie jedną ukochałem,
Ty dla mnie tylko jesteś sennym ideałem,
Który ziemską miłością natchnąć mnie nie zdoła.

* * *

Gdzież ta miłość, o któréj głoszą dziś dokoła?
— Ty wierzyłaś w nią święcie, och i ja myślałem
Pierwéj, żem cię ukochał duszą, sercem całém,
Dziś widzę, żem niegodzien patrzéć na anioła.

* * *

Czasem, gdy blady księżyc zabłyśnie na niebie,
Ogarnia mnie jak otchłań, jak widmo złowieszcze
— Uczucie, które próżno odganiam od siebie.

* * *

— W oddali biała suknia pośród drzew szeleszcze,
Precz, precz senne widziadło! o, bo powiem jeszcze...
— Lecz nie, to omamienie; ja nie kocham ciebie!

S. Z.

DON KARLOS I FILIP II.

(dzieło Karola Mony)

Karlos miał lat 16 w r. 1560, kiedy go ojciec kazał uznać nastepcą tronu Stanom zgromadzonym w Toledzie. Następnie pragnąc ułagodzić jego szorstki charakter, posłał go na uniwersytet do Alkali, mając nadzieję, że nauka literatury wpływ zbawienny w tym kierunku wywrze.

Powróciwszy ztamtąd królewicz, spadł ze schodów i tak nieszczęśliwie iż mniemano, że się zabił. Zbiegli się doktorowie, zaczęli natychmiast trepanować głowę, raz drugi, ale napróżno. Uwiadomiony król przybył do umierającego syna, a przypomniawszy sobie, że uważał w nim pewne nabożeństwo do S. Dydaka, kazał natychmtast zanieść processionaliter ciało do kaplicy, i zdjętym ze świętego całunem, okrył je... Karlos otworzył oczy, doktorowie biorą go za puls... bije i nawet bez gorączki. Skutkiem tego cudu Dydak, który wtedy był tylko błogosławionym, na przedstawienie Filipa II został kanonizowanym.

Cóżkolwiekbądź, od tego fatalnego przypadku głowa Karlosa pozostała nieco uszkodzoną, wpadał w gwałtowne gniewy, ciemiężył dworzan i gnębił kogo mógł. I tak raz, skoro szewc przyniósł mu zbyt ciasne obuwie, kazał mu je pokrajać w kawałki i takowe połknąć. O! poetyczny Szylerowski Karlosie! gdzie jesteś? kroniki hiszpańskie pełne takich smutnych anegdot. Poeci obgadali także Karlosa, że chciał się przyłączyć do zbuntowanych Niderlandów i znieść inkwizycją. Autor jak najmocniéj temu przeczy, i słusznie, książe bowiem mający tak wielkie nabożeństwo do S. Dydaka, nie mógł być żadnym sposobem groźnym nieprzyjacielem katolicyzmu.

Wszystko to były fraszki. Główną niechęć Filipa ku synowi przypisują temu, iż Karlos na spowiedzi miał wyznać zamiar zamordowania ojca. Za to został skazany na śmierć przez trybunał inkwizycyjny; król ułagodził wyrok, zamieniając karę śmierci na odsądzenie od tronu i wieczne więzienie. Dwaj ministrowie oświadczyli się za ułaskawieniem, nie dowierzając zapewne obwinieniu opartemu tylko na zeznaniu spowiednika, ale zacny ojciec oświadczył, że miłość (!) poddannych nie pozwala mu zachować im pana tak niebezpiecznego, że zresztą królewicz jest w takim stanie, iż dosyć go zostawić zwykłym nadużyciom, żeby umarł naturalną śmiercią, że chodzi więc tylko o to, żeby się mógl na czas z Bogiem pojednać. Z tych słów króla, minister Ruy Gomez wywnioskował, iż może bez stania mu się nieprzyjemnym, przyspieszyć śmierć Karlosa. Doktór królewicza był tegoż zdania. Leki zadane w porę choremu, dozwoliły niedługo uwiadomić króla, że syn kona... zmartwiony zacny ojciec, pocieszył się tem, że się syn wyspowiadał.

Według drugiéj wersji, Filip kazał inkwizytorom skazać syna na śmierć, żeby zaś nie zostało śladu wykonania wyroku, dokładano wolnéj trucizny do jadła więznia.

Według trzeciéj, więźniowi dano rosół zatruty, od którego we dwie godziny umarł.

Ponieważ oprócz podań pywyższych żadnego nie ma innego wyraźniejszego dowodu, autor przeto wnosi, że Filip II nie był synobójcą. Ale czy brak dowodów może tego dowodzić? W całéj historji ludzkości, tylko jeden Brutus wyrzekł pu-

blicznie wyrok śmierci na synów swoich. Uwięzienie przynajmniéj Karlosa nie potrzebuje dowodów, a w brew zdaniu autora sądzimy, że ono odpowiada karze śmierci. Czy umarł naturalną, czy gwałtowną śmiercią, mniejsza o to, dość że rozum stanu zamykający go w więzieniu, wymagał zniknięcia Karlosa. Nie należy przytém zapominać, że Filip II nie miał nigdy wyrzutów doczesnych, we wszystkich zaś sprawach duchownych polegał na zdaniu swojego spowiednika. Ten zaś od początku sprawy uwolnił sumienie swojego pokutnika, co żadnéj niepodlega wątpliwości.

Chociaż brak faktów wyjaśniających powód tak strasznéj zbrodni, jest jednak moralne przekonanie, że zazdrość była tego jedyną przyczyną. Filip ożenił się z Elżbietą narzeczoną swego syna. Przy piérwszém spotkaniu po tém małżeństwie Karlos był posępny, chory i wydziedziczony, macocha smutną i do tego żoną człowieka, który w życiu swojem do niczyjego nie przemówił serca. Młoda królowa okazywała pasierbowi życzliwość, która podwoiła się w chwili uwięzienia. Karlos zaś okazywał macosze uszanowanie, jakiego nie miał dla nikogo i jéj tylko ulegał ten dziki i drażliwy książe. Zuchwały i lekceważący z innemi kobietami dla macochy miał zawsze cześć, która na chwilę przeobrażała go zupełnie, potém wychodził zrozpaczony, ciskał się gwałtownie i głośno narzekał że mu ojciec zabrał narzeczoną. Jeżeli do tego dodamy, iż królowa nie mogła otrzymać od małżonka pozwolenia odwiedzenia raz jeden Karlosa w więzieniu, nawet w ostatniéj godzinie; że we trzy miesiące po śmierci Karlosa umarła; że ten w ostatniéj godzinie, przypomniał sobie dobrą a nieszczęśliwą macochę, konając szukał jéj gasnącemi oczami, i tę czystą istotę, uprzytomniwszy w swéj duszy, pożegnał, jako jedyną litościwą i kochającą duszę, którą napotkał w nędzném swém życiu: trudno oprzeć się przypuszczeniu zemsty zazdrosnego męża.

„Nienawiść wszystko rozerwie, powiada Adam, lecz serca kochanków złączą się znowu w pieśniach Wajdeloty“. Szyler w nieśmiertelném dziele złączył na wieki Karlosa z Elżbietą, i w Eskurialu z czasem przebłagalna wybiła godzina; samotną trumnę Karlosa wydobyto z przeklętego grobowca i postawiono obok trumny téj, która była talizmanem jego cierpiącéj duszy.

Po śmierci Elżbiety, Filip ożenił się z drugą narzeczoną zamordowanego syna, Anną austryjacką, a jakkolwiek współcześni nie przeczą otruciu Elżbiety, jednak niektórzy za powód téj zbrodni kładą nie zemstę, ale ambicję. Czy więc kijem czy pałką, mówiąc po polsku, moralne znaczenie sprawy nie ulega zmianie. Chociaż szkarady podobne lepiéj, żeby pogrzebały się w niepamięci ludzkiéj, historja jednak ujawniając je, dla postępu przynosi wielką usługę, bo rozdziéra ciemnice przesądu i niezasłużonéj aureoli.

(*Bibl. Warsz.*)

(*Artykuł nadesłany*).

Z TRAKTATU O ZĘBACH

s. p. D-ra J.

Sposób jeden z najpewniejszych zachowania w późne lata zębów, które się jeszcze nie psuły, i podtrzymania psujących się, szczególnie z powodu szkrofułów, jest następujący: Nie używać nigdy żadnych olejków spirytusowych, proszków do czyszczenia zębów albo dla uśmierzeenia bólu. Dwa razy na tydzień dla białości wytrzeć ją proszkiem tabaki prostéj miałko przesianéj, a po każdem jedzeniu, przynajmniéj zaraz po obiedzie i wieczorem wymyć dobrze zęby zewnątrz i wewnątrz czystą niezbyt chłodną wodą, ale nigdy ciepłą za pomocą palca, wyjąwszy piérwiéj piórkiem tępo ostruganem wszelkie obce ciało, szczególniéj mięso, bo to psując się przez noc i zgnilizną swoją zarażając kość i dziąsło, do zepsucia i cuchnienia ust usposabia. Przy tém bardzo jest dobrze codzień wieczorem i rano zimną wodą oblać dobrze szyję, uszy, za uszami i popłuknąwszy zęby i gardło przełknąć trochę świeżéj wody dla przeczyszczenia go daléj. Takie utrzymywanie się codzienne bez przerwy jest niezawodnie lepsze, jak wszystkie zwyczajnie radzone sposoby olejkowe, proszkowe i. t. p., które, nietylko nie pomagają, ale do prędszego kruszenia zębów są powodem.— W bólu zębów najlepiéj jest wziąć soli Angielskiéj łyżkę w ciepłéj wodzie rozpuszczonéj, albo cóś innego równie łagodnie działającego.

NĘDZA ZA CZASÓW FRONDY

Pod tym tytułem wyszłe dzieło A. Teuiller, jest krwią i łzami malowanym obrazem najokropniejszych nieszczęść, w jakie ludzkość popaść może na tym padole płaczu; jest to odwrotna strona medalu, zaćmienie zupełne wersalskiego słońca, które

tak olśniło ludzi w pobliżu stojących, że nic prócz promieni jego nie widzieli.

Słowa Ludwika XIV: *l'Etat c'est moi* streszczają całą historję, którą dani dziejopisowie przekazali potomności. Le roi continue de prendre ses divertissements, pisała ówczesna gazeta francuzka, dając tém do zrozumienia, że kiedy król wesoły, poddani nie powinni być smutni. Nędzy téj jednak nie tylko nie zaradzono, ale nikt nawet o niéj nie mówił, bo nędzę w XVII w. uważano za karę grzechu pierworodnego, chęć więc zapobieżenia jéj była bezbożnością, zuchwałym buntem przeciw wyrokom Opatrzności.

Wypowiadając tę zasadę autor wszystko tłumaczy. Znakomita jego praca jest energiczną protestacją przeciw historji oficjalnéj, dokonaną nie za pomocą czczéj deklamacji, ale spokojnego przytoczenia mnogich dokumentów.

Dzieje dawnéj monarchji, powiada autor, można streścić w trzech słowach, wojna, głód, zaraza; kiedy się patrzy na to krwawe pasmo walki i klęsk wszelkich, wydziwić się nie można, że naród mógł przeżyć to wszystko. Dawna organizacja społeczności francuzkiéj, przedstawia zdumiewający stek fałszywych miar, praw niesłusznych, potwornych przywilejów, niesprawiedliwych podatków i barbarzyńskich przepisów.

Opowiadanie wypadków zaszłych tak niedawno wydaje się relacyą z pierwszych czasów barbarzyństwa. Teraźniejsze pokolenie Francuzów przyzwyczajone do jedności narodowéj i opieki praw sprawiedliwych, nie może nawet dokładnie sobie wyobrazić krwawego chaosu i ciemności, w które wiek XVII zagnał naród dowolne prawa i ucisk możnych. Prowincje ustawicznie szarpane przez konającą władze feodolną i rosnącą władze królewską, były polem harcu wszech-nienawiści, służyły do nasycenia wszech-zemsty. Od XVII do XVIII wieku lud był ofiarą, na którą spadło wszystko złe; wyzyskiwany przez szlachtę, zdradzany przez królów, on wszystko zapłacił, wszystko poniósł, wszystko odpokutował.

W r. 1788 Francja jeszcze liczyła 70,000 dóbr lennych. Jakież zamieszanie w kraju musiało sprawić tyle granic? Jakież mogło być rolnictwo przy takim stanie własności gruntowéj? Ażeby dobrze uprawiać ziemię, trzeba ją kochać; ażeby kochać, trzeba ją posiadać. Otóż ziemia francuzka wówczas cała prawie należała do szlachty i duchowieństwa, ani jedni ani drudzy nie mieli pojęcia o ulepszeniu gospodarstwa; jedni i drudzy chciwi nad miarę, wysysali soki z téj ziemi, nie troszcząc się o nią bynajmniéj.

Taki podział mienia, musiał wykopać przepaść pomiędzy dwoma ludnościami Francji, możną i ubogą. Po jednéj stronie ubogi poddany, przygnieciony podatkiem, obarczony pracą, po drugiéj wyzyskiwacz, tyran straszliwy, który na przemiany zwał się królem Francji, to panem feodalnym, to lasknechtem, to rabusiem. Ktokolwiek nosił przy boku szablę, powiada Michelet, był królem i robił, co mu się podobało. Nie było ani ludzi ani narodu, tylko brutalstwo wojny i jego twarde narzędzie, żołnierz. On wtedy panował, wydano mu naród, jego mienie i życie, duszę i ciało, mężczyzn, kobiety i dzieci: wszędzie był płacz i krzyki rozpaczliwe, oczy z łez nie osuszały się biednemu ludowi.

Pierwsza połowa XVII w. przypomina we Francji okropności wieku poprzedniego, owego najtragiczniejszego aktu w dziejach ludzkości.

Okolice nadgraniczne najwięcéj ucierpiały, dziś kwitnące, wówczas były pustyniami. Wojska królewskie, znaczyły swój pochód ruiną; zajęte wsie i miasta topiły we krwi lub puszczały z dymem. Jeden nocleg maszerującege korpusu kosztował w przecięciu 10,000 franków. Miasto Marle, które wtedy nie miało 1200 mieszkańców, w ciągu lat 12 wydało na kwaterunek 667,000 rocznie. Kroaci Jana de Werth, mordowali nawet dzieci w kolebkach, po ich przejściu nie było już ani zbioru, ani orki, ani siejby, wszędzie chaos, a płomienie zabierały to, czém grabież wzgardziła. Wieśniacy chroniąc się przed morderstwem w lasach, umierali z głodu i zimna. W prowincji la Marche, głód i zaraza były nieustające, lud żył trawą dopóki była, chléb pieczono z siekanéj miotły, wrzosu i mielonych skorup włoskiego orzecha. Z Burgundji wybrańcy téj prowincji donosili, że ludność u nich tuła się jak trzoda bydła, że głód wszystko wyniszczył, że większa część wiosek stoi pusta.

W Lotaryngji wilcy zwabieni trupami, zamieszkały w domach jak u siebie; zjadały umarłych i żywych zbyt słabych, żeby się bronić mogli. Ubóztwo pożerało zdechłe zwierzęta, zboża nie można się było dokupić, a prowincje wolne od wojny, łupił podatek, niszczył głód i zaraza. Stany normandzkie w 1,634 r. wyrzekły: podatki powiększyły się u nas do tyla, że ściągają pozostałą na ciele koszulę.

(d. n.)

Nowości Zagraniczne.

Le Follet. Suknie noszą zawsze długie, powłóczyste, ale znacznie zwężone w górze, to jest każdy bryt bywa ścięty; przez co fałdy tworzą kształt wachlarza. Wiele sukien u dołu obszywają pluszem ukośnym, raz albo dwa razy.

Rękawy prawie obcisłe, utrzymują się tak do strojnych jak i do mniéj ubranych sukien. U ręki ścięte bywają czworograniasto. Pod spód używane rękawki muszlinowe lub półbatystowe, także płaskie, z obcisłym webowym mankietem, spiętym na dwa lub trzy guziki.

Do okrycia noszą bardzo rotondy, z ciepłéj tkaniny wełnianéj, obszywane grubą frendzlą sznelową. Rotondy aksamitne, z pasmanterją i koronką, należą do strojniejszych okrywek. Niektóre okładają także futrem.

Paski i gorseciki szwajcarskie bynajmniéj nie wychodzą z mody. Młode panienki noszą je na białych muszlinowych staniczkach. Do mniejszego ubrania służą kaftaniczki sukienne z pasmanterją i guzikami na pół batystowéj koszulce. Często zamiast koszulek używają pod kaftaniczki, kamizelek jedwabnych lub aksamitnych, z roztwartym bawecikiem.

Małe dziewczynki, ubierają w czapeczki barankowe, z białą kitką, w miejsce kapelusika.

Z sukien któreśmy w tych czasach widzieli, podobała nam się czarna poult de soie, naszyta u dołu pięcioma rzędami wązkiéj aksamitki. W niejakich odstępach szły klapki na ćwierć łokcia, zakończone w ząb po obu stronach, dane do koła sukni w drabinkę, a tém samém przechodzące, przez owe pięć rzędów aksamitki. Przody stanika przybrane były odpowiednio. Rękawy miały także stosowny mankiet i naramiennik. Każda klapeczka objęta była rulonikiem fijołkowym jedwabnym.

Zwrócił także uwagę naszą piękny szlafrok kaszmirowy czarny, z przodami puszczanemi, przyfałdowanemi u ramion. Objęty był u dołu plisą szafirową jedwabną, zawróconą w górę z obu stron przodu. Środkiem szedł rząd szafirowych jedwabnych guzików. W pasie obciśnięty był długą i szeroką szarfą kaszmirową, okręconą dwa razy, i lekko przewiązaną w tyle, z końcami przybranemi plisą jak dół spódnicy. Rękawy średniéj szerokości, miały mankiet stosownie zakończony, mała pelerynka sięgająca do stanu objęta była plisą równie jak kieszonki po bokach.

L'Estafette. Suknie jedwabne mogą się obejść bez garnirunku. Stanik robią do nich gładki spięty na guziki szmuklerskie. Całą odobę stanowią naramienniki i wyłogi u rękawów z pięknéj pasmanterji naśladującéj gipiurę. Od paska spada torebka także szmuklerską robotą.

Przy wielu sukniach jedwabnych widzimy takąż samą rotondkę a raczéj pelerynkę ogarnirowaną wolantem gipiurowym.

Do wyjścia na ulicę, oprócz wielkich rotond, używają także paletotów wciętych prawie do figury. Te ostatnie okładają futrem wązko na dwa palce, a niekiedy nawet na palec. Rulon taki futrzany dany bywa prawie na każdym szwie, a nawet w koło pachy, co niekoniecznie zgrabnie wygląda.

Krótkie westki Hiszpańskie z podciętemi przodami, stały się panującą modą. W domu noszą je pluszowe lub kaszmirowe, do większego ubrania aksamitne, naszyte pasmanterją, ogarnirowane grelotkami. Pod piérwsze kładą koszulki fularowe, pod drugie zaś muszlinowe, lub batystowe przybrane walansienką.

W kapeluszach nie widać odmiany, po bokach zawsze mocno ścięte, w górze mniéj podniesione, niż w roku zeszłym.

W układzie włosów spostrzegamy tę nowość, że koki nie spadają już na szyję, pokryte siateczką, lecz piętrzą się w górę na samym środku głowy. Niewszystkie jednak panie przyjęły tę modę.

Wyrób jedwabny czarny na suknie zwany *Drap de Lyon*, powszechnie używany w tym roku. Widzieliśmy taką suknię, bez żadnego garnirowania u dołu, lecz na każdym szwie przybraną torsadkami z pasmanterji. Do okrycia służyła nie wielka rotonda aksamitna, ogarnirowana gipiurą. Kapelusz miał rondo namarszczone z materji fijołkowéj, główkę aksamitną czarną, i takiż karczek. Przez rondo spadała chusteczka aksamitna, ogarnirowana koronką. Podpięcie składało się tylko z illuzji i blondynki.

Atłas powrócił do mody. Robią z niego watowane okrywki, kapelusze, chusteczki pikowane w maszynie, i krawatki różnego rodzaju.

Opis ryciny.

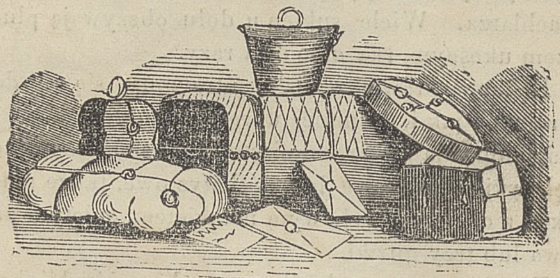
Figura 1. Suknia popelinowa naszyta u dołu aksamitką i medaljonami szmuklerskiemi w półłokciowych odstępach. Stanik hiszpański z baskiną rozcinaną w klapeczki, z aksamitném objęciem i medaljonami. Rękawy obcisłe odpowiednio ubrane. Kołnierzyk i mankiety webowe.

Krawacik wązki. Kapelusz aksamitny ubrany fałdowaną materją z zakończeniem frendzlowem.

Figura 2. Suknia jedwabna przybrana u dołu wolantem 25 centymetrów szerokim, fałdowanym w cztery głębokie kontrafałdy. W odstępach wrabiane liście koronkowe, — na całéj sukni podobnież liście mniejszéj wielkości. Paltocik aksamitny wpadający do figury obszyty obłożeniem piórowem.—Takież samo obłożenie z piór przy pasze i rękach. Kapelusz aksamitny. Manszou nurkowy.

Ubranie panienki 8-mio letniéj. Suknia z popeliny w kratę naszyta u dołu ruszą jedwabną i wstawką gipiurową. Stanik nie zachodzący pod szyję szamerowany kwaścikami i sznurem szmuklerskim. Bluzka muszlinowa w zakładki. Kapelusz okrągły aksamitny. Buciki polskie sznurowane z przodu jedwabną plecionką z kwaścikami.

DONIESIENIA.



Pani Czar. z Bąkowy, Sukni czarnéj mantynowéj z mantylkami nieodebraliśmy. Rachunek zrobionych sprawunków przesłaliśmy pocztą.

Pani Rakow. w Smieły. Buciki wraz z opłatą pocztową kosztowały Złp. 117.—Pani Konstanty. w Kijowie Złp. 3 gr. 10 zostało w Redakcji na dalszą prenumeratę.

Panu Makow. w Harkowie od prenumeraty pozostało w Redakcji Złp. 4 gr. 12 Książkę żądaną wyprawiono pocztą.

Od P. Zofii Kamień. na kościół pp. Marjawitek w Częstochowie odebraliśmy Złp. 1 gr. 20.

P. Law. w Bielsku, stosownie do jéj żądania zamieszczamy cenę przedmiotów wyrobu P. Frażeta:

Para lichtarzy do cygar od . .	Złp.	40	do	70
Koszyki do ciast od	„	40	„	120
Cukiernice większe.	„	80	„	105
Taca machoniowa większa. . .	„	200	„	260
Garnuszek do śmietanki . . .	„	35	„	50
Masielniczka.	„	80	„	100
Nóż do masła złocony. . . .	„	12	„	—
Widelczyk do cytryny. . . .	„	3	„	5

Po nadejściu pieniędzy powyższe przedmiota natychmiast przesłane zostaną.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K.Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 5 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 30 Stycznia 1864 roku.

JAN HALIFAX,

POWIEŚĆ M^ss MULLOCH,

SPOLSZCZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Sewerynę Pruszakową.

(Dalszy ciąg.)

I oddał mu pokłon, na znak, że przepomniał urazy, nie wypadało bowiem panu Brithwood gniewać się na człowieka, tak wiele niższego od siebie.

— Czy mogę pomówić chwilę z panem?

— Nie inaczéj, odrzekł Brithwood, słucham pana.

— To interes osobisty, odparł Janek, nie wypada mówić przy świadkach.

— Tu nie miejsce na osobiste interesa.

— Muszę jednak pomówić z panem i to niezwłocznie.

Brithwood dał znak sekretarzowi aby odszedł.

— Zamknij do jutra tych łotrów, rzekł, co widzę? już trzecia dochodzi, że téż nie mogę miéć chwili spokojnéj.

A teraz przystąpmy do interesu, rzekł zwracając się do Janka.

— Nie będę pana długo nudził. Jest to dopełnienie prostéj formy, przyséła mnie tu krewna pańska, panna Urszula Marek...

— Nie przyznaję się wcale do tego pokrewieństwa... Nie pragnę nawet kiedykolwiek ją zobaczyć.

— Bądź pan tak grzeczny, odrzekł Janek z powagą powściągnąć się przynajmniéj w mojéj obecności.

— W pańskiéj obecności? a któż pan jesteś, proszę mi powiedziéć?

— Pan wiész o tem bardzo dobrze.

— Prawda, odrzekł szyderczo Brithwood, a jakże idzie garbarnia? może pan chcesz kupić starego konia z mojéj stajni? Ale cóż to ma wspólnego ze mną i z moją rodziną?

Janek zagryzł usta z oburzenia.

— Panie Brithwood rzekł, nie przychodzę tu mówić o sobie, ale o pańskiéj krewnéj, która przysyła mnie do pana...

Brithwood podniósł dumnie głowę i odrzekł z powagą:

— Téj krewnéj, podobało się opuścić rodzinę, a więc rodzina nie potrzebuje o niéj wiedziéć.

— Wiem o tem odparł Janek.

— Wiesz pan? a jakimże prawem, mięszasz się w interesa panny Marek?

— Właśnie przychodzę tu oznajmić, że za kilka miesięcy będę mężem panny Marek.

Janek wyrzekł te słowa tak spokojnie, że Brithwood nie dowierzał własném uszom.

— Wyborny żart, zawołał, śmiejąc się na głos.

— Wcale nie żart, mówię to zupełnie poważnie.

— Czy tak? Ha! młode panny szaleją czasami. Winszuję panu! Zresztą jesteś przystojny chłopiec możesz wpaść w oko, obudzić chwilową skłonność, ale nie podobna przypuścić żeby poszła za Ciebie.

Janek powstał z miejsca i ściskając pięście rzekł z ogniem:

— Strzeż się pan, nie znieważaj téj, która będzie moją żoną, przestrzegam pana.

Brithwood zatrwożony, zmienił nagle sposób obejścia.

— Siadajże pan rzekł, pomówiemy o tém jeszcze

Janek nsiadł.

— Więc moja kuzynka jest pańską żoną?

— Będzie nią za kilka miesięcy, zaręczeni jesteśmy od tygodnia, za wiedzą i pozwoleniem państwa Jessop, którzy mają nad nią opiekę.

— A pan od kogo zależysz?

— Sam od siebie, nie mam rodziców ani krewnych.

— Słyszałem o tem, i dla tego pytam, jaki cel pańskich odwiedzin? Gdziesz są jego papiery? Radbym wiedział czego pan żądasz odemnie, kuratora majątku panny Marek?

— Niczego nie żądam. Panna Marek ma prawo wybrać sobie męża według woli, ale pewne okoliczności skłoniły mnie, do oświadczenia panu, że wkrótce będzie moją żoną.

Ostatnie słowa wymówił z szczególnym przyciskiem.

— A czy mogę zapytać jakie to okoliczności? spytał szyderczo Brithwood.

— Wiadomo panu dobrze. Panna Marek posiada majątek, ja go nie mam. Wolałbym żeby było przeciwnie, lecz i tak pojmę ją w małżeństwo.

— Wierzę bardzo potwierdził Brithwood z szyderczym uśmiechem.

— Powtarzam panu, rzekł Janek, będzie moją żoną. Niech sobie świat mówi co zechce, my z innego stanowiska poglądamy na rzeczy. Ona zupełnie mi zaufała. Byłbym nikczemny, gdybym nie chciał zaslubić kobiéty, którą kocham, dla tego świat mógłby mnie obwinić o interes.

Janek mówił z zapałem, patrząc bystro w oczy panu Brithwood:, który stał pomięszany.

— Wszystko już powiedziałem, dodał Janek spokojnie. Wiesz pan dokładnie o co idzie, nie chce go dłużéj zatrzymywać.

— Ale ja mam jeszcze coś do powiedzenia odparł Brithwood zaczekaj pan chwilę.

Janek zatrzymał się we drzwiach.

— Powiedz Urszuli Marek, że może oddać rękę tobie, lub piérwszemu lepszemu hołyszowi, nie będę się zupełnie temu sprzeciwiał. Ale jéj majątek złożony jest u mnie; nie oddam ani jednego pensa, póki prawo nie zmusi mnie do tego; a na to djabelnie długo możecie czekać.

— Jak się panu podoba, rzekł Janek, nie po to wcale tu przyszedłem. Bądź pan zdrów.

Wyszliśmy z sali. Na gościńcu Janek odetchnął pełną piersią.

— Ha! skończyłem już dzięki Bogu.

— Czy myslisz, że wykona pogróżkę?

— Bardzo być może, nie mówmy już o tém.

Szliśmy wesoło, oddychając balsamiczną wonią drzew i kwiatów.

— Jakże pięknie po deszczu. I ona wyjdzie zapewnie na przechadzkę.

—Skręciliśmy do domu doktora, właśnie wychodziła z panią Jessop.

Spojrzała na Janka skromnie ale badawczo:

— Wszystko dobrze idzie, rzekł patrząc na nią z uczuciem, nie lękaj się niczego.

— I czegoż mam się lękać?

Cała jéj postać tchnęła szczęściem i zupełną ufnością.

— Janek podał jéj ramię.

— Chodź ze mną rzekł, nie lękajmy się teraz oczu świata.

Poszli śmiało naprzód.

— Niech ich Bóg błogosławi, kochane dzieci, mówiła dobra pani Jessop, wszyscy byliśmy młodzi.

— O! nie wszyscy, nie wszyscy pomyślałem.

Widok tych młodych narzeczonych, tak pełnych wiary w przyszłość, napełniał serce niepojętą radością.

— Wróciliśmy na herbatę do domu doktora, gdzie Janek przepędził prawie wszystkie wieczory. W obejściu ich panowała szczerość i prostota, unikali wszelkich pobocznych szeptów, owych maleńkich sprzeczek, tak zwyczajnych między narzeczonymi. Urszula robiła robotkę, Janek zdawał się wyłącznie nią zajęty, ale postać obojga, tchnęła szczęściem, pokojem i miłością.

Rozmowa Janka z panem Brithwood, nie zmąciła bynajmniéj tego pokoju. Bogaci wzajemnem przywiązaniem, nie dbali o dostatki.

Po herbacie Janek opuścił nas jak zwykle. Uważał bowiem za główny obowiązek zaglądać w wieczór do garbarni. Urszala odprowadzała go do drzwi, i nikt nie miał jéj tego za złe.

Wróciła po chwili i przysłuchiwała się pilnie rozprawie pani Jessop, o najoszczędniejszym sposposobie, urządzania konfitur i marynat.

— Powinnaś, rzekłem, wyuczyć się tego panno Marek!

— Ona też przychodzi w dzień do kuchni... odparła pani Jessop. Niemasz się czego wstydzić Urszulku.

Wtéj chwili drzwi się otworzyły z łoskotem.

— Gdzież jesteś kochanko, zawołał dzwięczny głosik.

— Lady Karolina! zawowołała zdziwiona pani Jessop.

— Pani Brithwood ucałowała Urszulę, z grzecznością prawdziwie francuzką.

— Czy prawda że idziesz za mąż? zapytała.

— Tak jest odrzekła Urszula z powagą.

— Jakżem szczęśliwa z tego. Zawsze mówiłam że ten młody człowiek, wygląda na bohatera romansu. Niktby go nie wziął za czeladnika garbarskiego. Wygląda zupełnie jak młodzieniec z naszego towarzystwa.

— Pan Halifax został wspólnikiem pana Tletcher, odrzekła spokojnie Urszula.

— To na jedno wychodzi. W każdym razie idziesz za garbarza.

— Idę za pana Halifax. A teraz pomówmy lepiéj o czem innem.

— Nie! nie! ja umyślnie przyjechałam, żeby o tém pomówić z tobą, bo ja ciebie tak kocham.

— Wdzięczna ci jestem odrzekła Urszula.

— Ja tak pragnęłam, żebyś dobrze poszła za mąż, bo wiesz mi kochanko, miłość nie trwa wiecznie, choć poeci tak utrzymują... nie wiem jak dawniéj było, ale teraz to zupełnie inaczéj...

Urszula, nie odrzekła słowa.

— Przypuśćmy że cię kocha, lubo Ryszard utrzymuje, że mu się raczéj podobał twój posag: co do mnie lepiéj o nim sądzę. Ale niestety! najlepsi z nich, nie kochają dłużéj nad lat parę. Nieprawdaż pani Jessop?

Żona doktora wyszła przed chwilą z pokoju, ja tylko siedziałem pod oknem, lecz mnie lady Brithwood nie spostrzegła.

— Marja nie byłaby twego zdania kuzynko, odrzekła Urszula. Poszła za mąż późno, lecz kochała doktora od młodości. Zbłądzili tylko w tém, że uważali ubustwo za przeszkodę do szczęscia.

— Co mnie obchodzą te stare turkawki mówmy raczéj o sobie.

— Wszystko już powiedziałam.

— Czy uwierzysz, że Ryszard wścieka się ze złości, zaklina się na wszystko, że nie odda ani pensa, z całego twego posagu. Czy o tém pan Halifax nie mówił?

— Przeciwnie mówił mi pan Halifax.

— Z jaką ona dumą powtarza to nazwisko! nie byłabyś widzę dumniejszą, gdybyś szła za jakiego lorda.

— Zapewne że nie.

— Oj dziecię, dziecię, nie wiész co to nędza; jak ty ją znosić będziesz?

— Sprobuję.

— Ależ ty nigdy nie rządziłaś domem.

— Nauczę się.

— Wyborna! Ten młody człowiek nie ma ani krewnych, ani przyjaciół, ani majątku, słowem nic!

— Idę za niego, rzekła z powagą Urszula, bo go poważam i ufam mu całą duszą: bo kiedy cierpiałam, on mi był pociechą; kiedy mnie spotwarzono, on mi wierzył; bo mnie kocha, a miłość jego, przynosi mi najwyższy zaszczyt.

Lady Karolina milczała, ale z próżnego i lekkomyślnego jéj serca, wydarło się ciche westchnienie.

— No moja Urszulku, rzekła jeźli cię kocha, widzę, że dobrze za to zapłacony. Bądź zdrowa i szczęśliwa.

Przyniesiono świécę, w téj chwili oczy Urszuli podniesione ku niebu, zdradzały wzniesienie duszy, z dziękczynną modlitwą za szczęście jakiem została obdarzoną.

XX.

W końcu jesieni Janek zaślubił Urszulę Marek. On miał lat dwadzieścia jeden, ona ośmnaście, młodzi więc byli, może nawet zamłodzi, według zdania ludzi rządzących się zimnym rozsądkiem. Co do mnie sądzę, że podwójne błogosławieństwo Boże, spoczywa na takich stadłach, małżeństwo święte, z prawdziwéj miłości, zawsze będzie szczęśliwe, czy to w młodszym czy w późniejszym zawarte wieku; ale tem pewniejsze czeka szczęście tych, którzy spotykając się w progu życia, rozpoczynają drogę z sercem wolném, pełném zaufania, bogatém w skarby młodości, i przyjmują wdzięcznie szczęście, jakie im Bóg przeznaczył, jak niemniéj gotowi poddać się losowi, w chwili boleści lub niedoli.

Takiemi byli Janek i Urszula.

Ślub ich odbył się skromnie bez czczéj okazałości. Janek utrzymywał, że wszelka próżność okazywana w takiéj chwili uwłacza świętości obrzędu.

W pogodny dzień jesienny, Urszula ubrana w lekką białą sukienkę, udała się do poblizkiego kościoła, gdzie młodzi małżonkowie, zaprzysięgli sobie dozgonną wiarę. Nie było nikogo oprócz doktora, pani Jessop i mnie. Po szlubie młoda para wyjechała na tydzień.

Kiedy powróciwszy oznajmiłem ojcu, że wszystko już skończone, nie zdziwił się bynajmniéj. Zakazał najsurowiéj, aby mu przed szlubem nie wspominano o małżeństwie: nie cierpiał bowiem weselnych uroczystości.

— Skoro się to już stało, tém ci lepiéj rzekł z udanym chłodem. Zdaję się dobra i rozsądna... jak na kobiétę.

— I taka śliczna mój ojcze.

— Tak, ale wdzięki kobiéce są rzeczą znikomą, a piękność pochlebia tylko próżności. A więc już pojechali.

Ojciec poglądał wkoło siebie, jakby szukał Janka, który od czasu choroby mieszkał ciągle pod naszym dachem.

— Byłem tego pewny, kiedy mnie wczoraj prosił o uwolnienie na czas jakiś. Więc się ożenił i odjechał. Chodź Fineas, siądź tu przy starym ojcu. Spodziewam się że ty przynajmniéj nigdy się nie ożenisz.

Podczas kiedy ojciec palił fajkę w milczeniu, przypominałem sobie, owe długie wieczory zimowe, podczas których czytywaliśmy z Jankiem przy kominku, owe piękne dni letnie, któreśmy trawili w ogrodzie. Teraz on ma żonę; i dom własny, inni będą mieli prawo do serca, które dotąd wyłącznie do mnie należało; a lubo szczęśliwy byłem jego szczęściem, z boleścią jednak patrzałem na opróżnione miejsce przy ognisku, i ze smutkiem przebiegałem myślą błogie lata młodości.

Pokonałem jednak te uczucia, kiedy Janek powrócił z żoną. Natychmiast poszedłem odwiedzić.

Mieszkali w starym domu, który ojciec kupił razem z młynem. Dom ten leżał w środku miasta, okna jego wychodziły na ulicę; za nim ciągnął się zaniedbany ogród, opasany murowanym parkanem. Nie był to dom odpowiedni dla młodych małżonków. Janek nie mógł go urządzić jak należało, gdyż część dochodu z garbarni, mało mu przynosiła. Jednak minąwszy próg, wnętrze domu, miły przedstawiało obraz.

Pokoiki świeżo pomalowane, zastawione były, wygodnemi, lubo nie wytwornemi sprzętami we wszystkiem panowała miła dla oka harmonija. Jerzy syn Salomei Watkins, i mała Fanny, składali cały dwór młodéj pary.

Janek odprowadził mnie do domu, Urszula sama usilnie o to nalegała. Od dnia ich zaręczyn, zawiązał się między nami, prawdziwie bratni węzeł. Idąc opisywał mi Janek radość, poczciwéj pani Tod, kiedy ich ujrzała w Enderly. O żonie mówił bardzo mało, zachowując dla siebie, cały skarb szczęścia jaki posiadał.

Bawiąc kilka dni w Enderly, zwiedził wielką fabrykę sukna.

— Wiesz co Fineas rzekł, przechodząc do tego przedmiotu, kiedym się przyglądał maszynom, przyszło mi na myśl, czyby zamiast kół wodnych, nie można ich poruszać za pomocą pary?

— Jakiéj pary?

— Zapomniałeś jak widzę, o nowym wynalazku Szkockiego Inżeniera, który w roku zeszłym, zaczął poruszać parą, statki na rzekach Torth i Ayde. Czyżby nie można użyć tego samego środka, do poruszania kół w fabrykach? To się da wykonać, jestem pewien, mam już w głowie, gotowy plan maszyny, wczoraj narysowałem go i pokazałem Urszuli. Od razu zrozumiała cały układ.

— Uśmiechnąłem się.

— Pewien jestem dodał: że człowiek zręczny i cierpliwy, mógłby zrobić wielki majątek w owéj fabryce w Enderly.

— Gdybyś chciał sprobować, zagadnąłem pół żartem.

— Radbym bardzo, odrzekł Janek z powagą. Nie raz już o tém myślałem. Fabryka należy do Lorda Luxmore, który ją wydzierżawia swemu Intendentowi. Gdyby można otrzymać w niéj posadę Inspektora.

— Sprobuj, odrzekłem, możesz być pewien powodzenia we wszystkiem cokolwiek zamierzysz.

— Nie, rzekł stanowczo, nie powinienem o tém myśléć, Urszula tak samo utrzymuje. Muszę na czas jakiś zawiesić te marzenia. Nie powinienem dla własnéj fantazyi, przerywać rozpoczętego zawodu. Jakże idzie garbarnia?

— Ojciec nie mógł dać sobie rady, ciągle był w najgorszym humorze. Niepokoi się i troszczy nad miarę.

— Staraj się uspokoić go, rzekł Janek, i zatrzymaj w domu o ile można. Ja sam mogę zarządzać garbarnią, wié przecie, że niczego nie zaniedbam.

— Janku, czyby była obawa?...

— Nie, bądź spojny, nic się nie pogorszyło od roku. Wszystkie interesa źle idą w téj chwili, ale nie ma się czego trwożyć; przetrzymamy. Co do mnie wcale się nie lękam.

Słowa jego nie zupełnie mnie zaspokoiły. Zaczynałem domyślać się tego, o czem on dawno wiedział. Majątek nasz był w niebezpieczeństwie jak okręt na rozchukanem morzu: biedny ojciec stracił głowę, ale Janek pochwycił rudel krzepką ręką i przy Boskiéj pomocy, spodziewał się zawinąć do brzegu.

Nie miałem czasu odpowiedzieć bo w tejże chwili nadjechała kareta zaprzężona w parę siwych koni. Dwie panie wyjrzały przez okno, jedna z nich ukłoniła się grzecznie. W chwilę potem lokaj przystąpił do Janka, prosząc aby chciał pomówić parę słów z lady Karoliną Brithwood.

— Czy pójdziesz, zapytałem.

— Czemu nie.

I postąpił ku karecie.

— Ah! jakżem rada że cię widzę kuzynku. Patrz Emmo to on, rzekła do siedzącéj obok pani.

Piękna to była kobieta, w całem słowa znaczeniu, nic dziwnego że zawróciła tyle głów, nie wyłączając nawet głowy sławnego Nelsona. Janek poznał ją, rysy jéj bowiem, znane były powszechnie. Spojrzał na nią z wyrazem politowania.

— Jakże się ma młoda małżonka spytała lady Brithwood.

— Dziękuję pani, ma się dobrze.

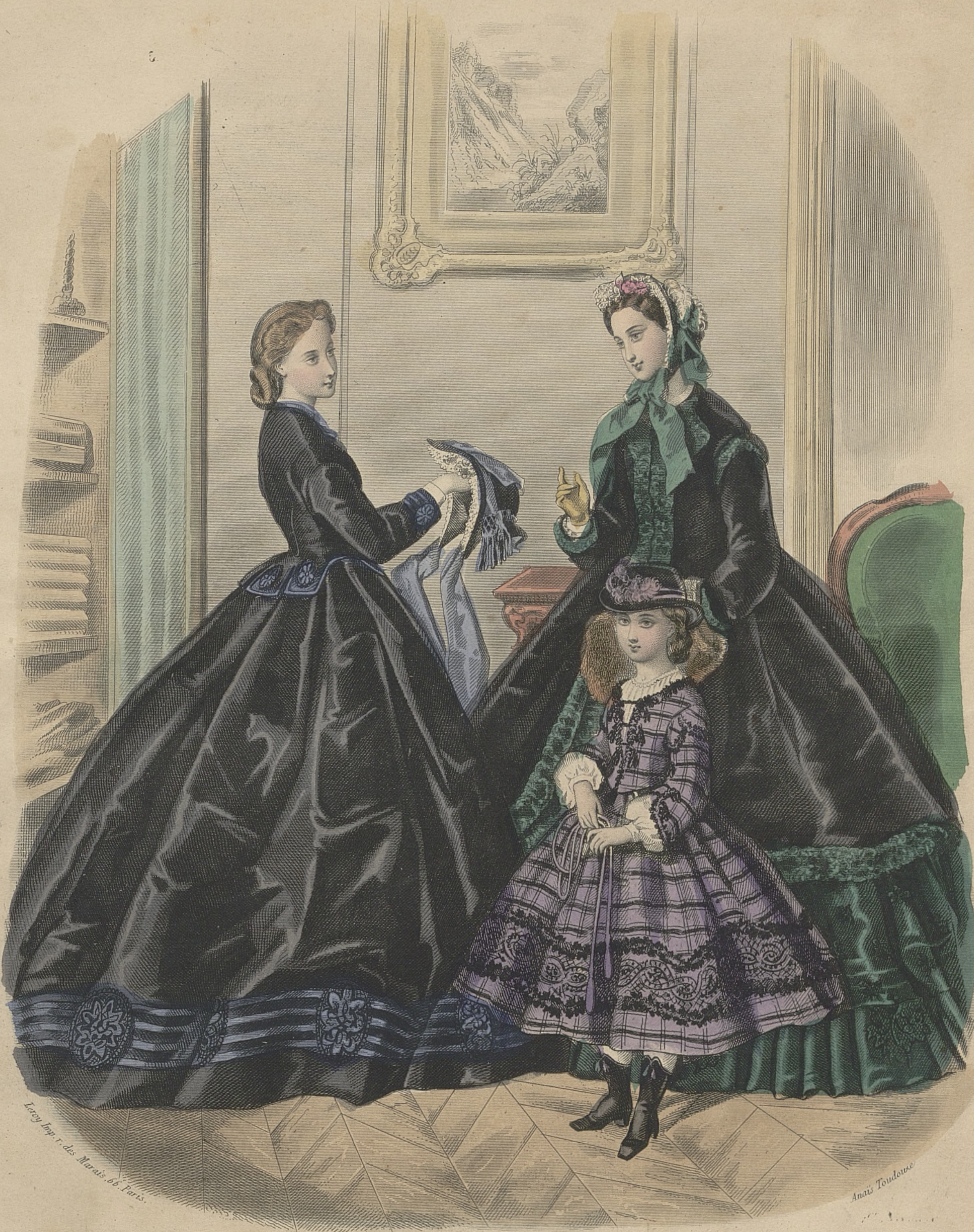
Lady Karolina uśmiechnęła się na tę zimną odpowiedź.

— Cieszę się mocno z tego spotkania, pragnę zachować z wami przyjacielski stosunek. Wiesz co Emmo, wybierzemy się kiedy, jak przebrane księżniczki do domu państwa Halifax.

— Dziękuję pani najmocniej, ale....

— Nie słucham żadnych ale.... pan Britwood nie będzie nic wiedział, zresztą mniejsza o to, lubię was oboje i mam ochotę żyć z wami, dopóki będę w Norton-Bury.

(d. c. n.)



TYGODNIK MÓD

w Warszawie

No 5

nro. 5. v 864